naszaHISTORIA

Drodzy Czytelnicy! Jeśli członkowie Waszej rodziny byli świadkami ciekawych wydarzeń, podzielcie się ich wspomnieniami

pleszew@glos.com
WACŁAW MAJCHRZAK

Długi i trudny powrót do rodzinnych stron

Ale historia Jak zakończyła się wojenna tułaczka mieszkanki gminy Gołuchów?

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Pani Helena chętnie dzieli się wspomnieniami ze swojej wysiedleńczej poniewierki

OD AUTORA

Regionaliści są przekonani, iż na 80. rocznicę „dzikich" i planowych wysiedleń z obecnego pow. pleszewskiego uda się znacząco wzbogacić wspomniany wykaz. Autorom przywołanej książki oraz wydawcom należą się szczególne podziękowania za podjęcie tego zagadnienia. Oprócz wymienionych już w tekście autorów książek i osób, korzystałem także z notatek i zapisów wspomnieniowych z mojego wywiadu z p.Heleną Tomczak. Dziękuję również za pomoc p.Halinie Krzyżak i dr. Andrzejowi Szymańskiemu.

Wracamy do poruszających wspomnień Heleny Tomczak (z d.Kubiak), której wysiedlona rodzina, trafiła do gospodarstwa w miejscowości Przysucha pod Opocznem:

– W pokoju był piec ,ale nie było czym napalić. Tata bał się iść do lasu, więc ja z innymi dziewczynami wychodziliśmy z rana i ścinaliśmy brzózki. Nie były za grube, ale codziennie nanosiłam ich na cała zimę. Brzózka, nawet mokra, pali się dobrze. Była to wyprawa ciężka i niebezpieczna. Mimo że tam były szkoły czynne , ja nie chodziłam, gdyż nie było na książki i zeszyty i jako takiego ubrania. Chodziło się cały tydzień w jednych i tych samych rzeczach. W sobotę przepierka i dalej w tym samym się chodziło.

O godzinie 20.00 nie było wolno wychodzić na ulicę (godzina policyjna). Po tej godzinie jednak nieraz wychodziłam na ulicę, aby znaleźć coś do jedzenia. Pamiętam, że w pierwszą wigilię na wysiedleniu dostaliśmy kawałek suchego chleba i plasterek cebuli. Po pewnym czasie mama zaczęła sprzątać i gotować u doktorowej. Część swojego posiłku przynosiła do domu. Korzystali głównie z niego najmłodsi (bracia). Dostawała też za pomoc doktorowej parę groszy, tak że raz po raz starczyło na chleb. Pomagałam rodzinie jak umiałam, czasem umyłam komuś podłogę itp. Pamiętam, że od koleżanki za pomoc w sprzątaniu domu otrzymałam ok. 4 kg ziemniaków. Oj, była wtedy uciecha – na ugotowane ziemniaki z solą nie mogliśmy się doczekać.

Pewnego razu mama płacze. Co ja mam wam dać jeść? Nikomu nic nie mówiąc poszłam do młynarza. Do młyna wodnego było ze trzy kilometry. Prosiłam młynarza o trochę mąki. Otrzymałam ok. 3 kg. Radość ogromna. Ugotowane kluski (sól, mąka i woda) smakowały jak nigdy. Po jakimś czasie było nam trochę lżej ponieważ brat pomagał w niemieckiej kuchni wojskowej. Wojsko zatrzymało się tam na ok. dwa miesiące. Brat za pomoc kucharzowi, który mówił trochę po polsku, otrzymywał zupę, chleb, herbatę i cukier. Trwało to jednak krótko, bo wojsko niemieckie wyjechało. Później 16-letni brat Aleksander zgodził się do pracy polowej w Janikowie. Po całodziennej pracy w polu (orka), wrócił wieczorem do gospodarza. Był bardzo głodny. Zjadł dużo świeżo upieczonego chleba, a do popicia podano kwaśne mleko. Ciężko zachorował. W krótkim czasie uciułał trochę grosza poszedł na odpust i kupił sobie wymarzone organki, a do domu krzyż i dwa obrazy (Serca Jezusa i Maryi). Choroba go powaliła, nie doszedł do domu. Miał wielką gorączkę. Nie mieliśmy pieniędzy na lekarza, ale lekarz przyszedł sam. Stwierdził, że to dur plamisty.

Wszyscy się od nas odwrócili, aby się nie zarazić. Mama jednak twierdziła ,że nie miał żadnej plamy, i była przekonana ,że powodem choroby było zatrucie się świeżym chlebem. Brat został zabrany do szpitala w Opocznie. Leżał tam trzy tygodnie. Oczywiście nie był pieniędzy aby dojechać na odwiedziny. Ciotka przemyciła w paczce parę marek i można było zadzwonić do szpitala. Niestety, informacja ze szpitala była okropna. Stwierdzili, że Aleksander już dwa tygodnie nie żyje. Po telefonie mama z siostrą poszły pieszo do Opoczna, bo autobusy nie kursowały. W szpitalu nie chcieli z nimi rozmawiać. Nie wiemy, gdzie jest pochowany.

Byłam w Przysusze dwa lata. Chcieliśmy się dostać z powrotem do Kucharek. Tata wykreślił nam na mapie trasę. Postanowiliśmy wracać: ja, moja starsza siostra Teresa i dwie dziewczyny (Olszynówne) – te, które zostały wywiezione z Kucharek. Byłam z nich najmłodsza, miałam 15 lat. Do Opoczna jechałyśmy wozem 27 kilometrów. Od Opoczna jechałyśmy pociągiem dziewięć stacji, potem szłyśmy pieszo. Robiłyśmy od 30 do 60 kilometrów dziennie. Szłyśmy w dość dużym odstępie dwójkami (młodsze z tyłu). Najgorzej było w miastach, bałyśmy się, aby tych starszych nie stracić z oczu. Nocowałyśmy na ogół po stodołach, o czym nie wiedzieli gospodarze. Ludzie bali się nas nocować, bo musieliby zgłaszać sołtysowi przybyszy, a to groziło wywózką na roboty do Niemiec.

W Pabianicach nie mogłyśmy wydostać się z miasta, bo wszędzie były patrole i wszystkich kontrolowano, a my nie mieliśmy żadnych dokumentów. Wymknęłyśmy się z miasta po burzy. Za opłatą przez granicę przeprowadził nas miejscowy człowiek. Szłyśmy za granicą lasem, przenocowałyśmy u gospodarza i rano w dalszą drogę. Szłyśmy cały tydzień. Dziewczyny Olszynówne miały pod Kaliszem – w Tyńcu – krewnych, więc tam się zatrzymałyśmy. U Olszynów najadłyśmy się strachu. Nim zdążono nas powiadomić, że Niemcy patrolują wieś, za chwilę weszli do Olszynów. Tylko ja zdążyłam się skryć. Do pozostałych Niemiec mówi : dużo was tu jest! Olszynowa odpowiedziała, że przyjechała rodzina w odwiedziny i zaraz wyjeżdżają. Stamtąd powiadomiono o naszym przybyciu rodzinę z Kościelnej Wsi. Przyjechano po nas wozem. Wreszcie tablica z napisem Kalisz. Przejechałyśmy na furmance jak prosiątka w słomie do Kościelnej Wsi. Olszynówne zostały u ciotki a ja poszłam kanałem w kierunku Kucharek. Wyszła po mnie ciotka i znalazłam się wreszcie u babci.

Ukrywałam się prawie trzy miesiące. Nigdzie nie wychodziłam. Miałam już prawie 16 lat i wuj twierdził, że tak nie może być. Wuj (mamy brat) pracował u dziedzica czechelskiego i poprosił go o zatrudnienie mnie. Dziedzic się zgodził, ale musiałam się zarejestrować w pośrednictwie pracy w Pleszewie. W pierwszym dniu nie załatwiłam , dopiero w drugim. Po zarejestrowaniu trzeba było odebrać karty żywnościowe w Gołuchowie. Ponieważ nie wiedziałam, gdzie odebrać te kartki , zapytałam wydawało mi się, że znajomego człowieka. Zdziwił się, że nie mam kartek ,opowiedziałam, że przyszłam z „protektoratu". Ten znajomy człowiek uczył mnie od pierwszej do szóstej klasy w Kucharkach. Poznał mnie ,a po piętnastu minutach przyszło dwóch żandarmów i pod karabinami prowadzili mnie do "Kasy" (posterunek żandarmerii) . W „Kasie" było jeszcze kilku żandarmów wypytywali mnie o wszystko. Powiedziałam o mojej wędrówce, a przyszłam w swoje strony, bo tam była straszna bieda, po prostu nie było co jeść, a w dodatku brak pracy. Po tych przesłuchach zaprowadzono mnie na górę do pokoju w którym były kraty i zamknęli mnie na klucz. W tym pokoju było łóżko i kościelne sztandary – było ich dużo. Po około dwóch godzinach przyszedł po mnie znajomy człowiek w mundurze niemieckim. Jeszcze raz żandarmi mnie przesłuchali i nakazali na drugi dzień przyjechać dziedzicowi z Czechla. Zaczęłam pracę u dziedzica mając 16 lat. Pracowałam tam do końca wojny.

Dopowiemy, iż Helena Tomczak chętnie dzieli się swoimi doświadczeniami z okresu II wojny światowej , o czym donosiła GP z dnia 8.04.2016r. ● ©℗